OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM CENA 30 GROSZY

PAX

O CHRZEŚCIJAŃSKĄ KULTURĘ JUTRA

DWUTYGODNIK 10 KWIECIEŃ 1936 NR 6 ROK IV

JÓZEF ŚWIĘCICKI

CZAS UPORZĄDKOWAĆ HASŁA

DALSZE OGNIWO DYSKUSJI SPOŁECZNO-POLITYCZNEJ

Bezprogramowość polityczna grupy rządzącej Polską nie jest wynikiem braku haseł i celów. Powstała ona z chaosu nieuporządkowanych frazesów, wśród których nie można rozróżnić prawdy od fałszu, zła od rzeczy pierwszoplanowych.

Bezładne nagromadzenie haseł bez hierarchicznego uporządkowania równa się bezprogramowości. A tę bezprogramowość wyrzucać ośmiela się otwarcie rządzącym dziś... nawet „Polska Zbrojna".

Nikt tak bowiem nie potrzebuje haseł mocnych, zdolnych wiązać z sobą ludzi na śmierć i życie, jak armja. Nie dziwimy się więc trosce, która znajduje odźwierciedlenie w jej organach prasowych.

Żołnierz umie zdobyć się na odwagę spojrzenia prawdzie w oczy. Tego męskiego stosunku do rzeczywistości społeczeństwo całe domaga się dziś od tych, na których spada największa część odpowiedzialności za przyszłość Państwa.

Święto morza, tydzień L.O.P.P., święto gór, święto lasu, tydzień spółdzielczości, Towarzystwo Rozwoju Ziem Wschodnich, Fundusz Pracy, Dzień Oszczędności i deflacja nawet, to wszystko na przemian powtarzające się, jak w kalejdoskopie, nie daje społeczeństwu żadnego poczucia istnienia jakiejś myśli przewodniej.

Od czasu odzyskania niepodległości, a więc przez blisko dwadzieścia lat mieliśmy tylko jeden program, jedno hasło, które zdołało zapanować nad innemi, którego oczywista słuszność i nadrzędność w stosunku do innych przez jakiś czas była dogmatem.

Tem hasłem było odpartyjnienie życia politycznego Polski. To hasło zjednoczyło dzisiejszy obóz rządzący dookoła osoby Marszałka, ale nie mogło wystarczyć na dłużej. Miało charakter raczej metodyczny, wychowawczy, było przygotowaniem do tego co miało przyjść, a co jeszcze nie przyszło.

Potęga militarna i rozwój gospodarczy dziś jako hasła są wypisane wprawdzie na naczelnem miejscu transparentów propagandowych reżimu, jednakże nie wystarczają. Nie mogą wystarczyć środki tam, gdzie trzeba celów; nie mogą pociągnąć, zasugestjonować, wykrzesać iskier zapału.

Militaryzm bowiem, to tylko środek do realizacji zadań polityki zagranicznej. Rozwój gospodarczy zaś sam przez się również nie stanowi programu, a może jedynie tylko być jego wynikiem, o ile program okaże się trafny.

W obu wypadkach chodzi o wyłonienie z chaosu bodaj jednej zasady, jednego dobra, jednego celu, któryby był postawiony ponad inne i którego prymatu większość gotowaby strzec z całą konsekwencją. Cały polityczny aparat propagandowy, tak jak w Niemczech i tak jak w Bolszewji, winienby służyć interpretacji i popularyzacji tej zasady.

Tylko, że zasada musi być inna niż tam na wschodzie i zachodzie. Musi być rdzennie polska i zdolna pociągnąć za sobą najszersze masy.

O ileż więcej wiary wzbudza czystość wyborcza tych 99 proc. większości Hitlerowskich Niemiec przy ostatniem głosowaniu, niż wyniki naszych wyborów do Sejmu np. na Polesiu.

Mamy prawo wierzyć, że postawa Hitlera w polityce międzynarodowej wzbudza szczery i powszechny entuzjazm jego rodaków, skoro wzbudza szczery podziw i uznanie nawet poza granicami Niemiec.

Polska nie ma możności odegrania tak wielkiej roli w koncercie państw europejskich, jak Niemcy — być może. Ale czyż posiada ona mocną i zdecydowaną postawę, przynajmniej w sprawach własnej wewnętrznej polityki narodowościowej? Czy umie ona wykorzystać pozytywnie żywiołowe siły ruchu narodowego ukraińskiego? Czy wie, w jakie łożysko należy skierować budzący się ruch białoruski? Kwestja litewska dotychczas jest nierozwiązana! Łotwa po macoszemu obchodzi się z mniejszością polską na Łotwie. A cała nasza polityka narodowościowa i gospodarcza na ziemiach wschodnich, czyli na ziemiach tak zwanej dziś powszechnie Polski "B", mimo szumnych frazesów jest w dalszym ciągu polityką waty.

Boimy się w pobliżu granicy wschodniej inwestować i meljorować, myśląc może, że te paręset kilometrów błot i bezdroży, nakształt puchu czy waty osłabi w przyszłości uderzenie ze wschodu, że odegrać będzie mogło podobną rolę jaką odegrała słynna linja Maginota we Francji.

Już samo budowanie twierdz na wzór Francji, jest godne narodu, który wymiera i nic nie ma w sobie z ekspansji. Cóż wobec tego trzeba powiedzieć o narodzie, który nic nie buduje, który pewną część własnego terytorjum traktuje w taki sposób, iż można wątpić albo w szczerą chęć jego utrzymania, albą w zdrową logikę...?

W hierarchji zamierzeń gospodarczych Rządu sprawa gospodarczego podniesienia Ziem Wschodnich stanowczo była dotąd umieszczona zbyt nisko. Dziś chcą z niej zrobić jedno z zagadnień pierwszoplanowych. Słusznie, ale tego mało. Nie może to być jakiś deus ex machina. Samo podniesienie gospodarcze jakiegoś terytorjum nie jest hasłem, któreby mogło zmobilizować cały naród i zagnać go do międzynarodowego wyścigu pracy — i jeżeli trzeba koniecznie — do wyścigu zbrojeń.

Hasła naczelnego, nadrzędnego jeszcze nie mamy. Jakie ono będzie, nie wiemy, ale wiemy, że ono dopiero wleje treść w ową pustkę polityczną współczesnej Polski. Aby było ono dostępne dla mas, musi być demokratyczne: Musi najszersze masy wciągać w orbitę zainteresowań. Musi uwzględniać potrzeby mas pracujących. Musi być tolerancyjne i atrakcyjne również dla wyznań nie katolickich i narodowości nie polskich. Musi być sprawiedliwe w stosunku do wszystkich dzielnic państwa. Nie powinno tworzyć kopciuszków i benjaminków, ani w zależności od stanu socjalnego, ani zależnie od wyznania, czy narodowości, ani od położenia geograficznego.

Doświadczenie historyczne uczy, że w różnych okresach czasu i w różnych społeczeństwach ważne zasady podnoszono do godności norm prawa naturalnego.

Były niem: prawo wolności osobistej, prawo wolnego samostanowienia narodów, prawo własności i inne. Dziś według dawnych wzorów do godności prawa naturalnego należałoby w Polsce podnieść prawo człowieka do pracy (przynajmniej do minimalnego kontyngentu pracy, zapewniającego minimum egzystencji), i prawo do swobodnego kulturalnego, politycznego i gospodarczego rozwoju narodowości niepolskich ale spokrewnionych z polską i zamieszkałych na terenie Państwa Polskiego. Te dwie zasady postawione na czele polityki wewnątrz Państwa może mogłyby zapewnić popularność całemu programowi, może mogłyby wykrzesać potrzebne w dzisiejszych czasach iskry ofiarności i zapału. Zasady te związane ogólną wytyczną polityki zagranicznej — utrzymania pokoju w Europie drogą utworzenia stałej współpracy bloku państw pozbawionych aspiracyj zaborczych, możeby mogły stanowić jedno z najwyższych piętr hierarchji wytycznych, stanowiących Polski program polityczny.

Nie można tego przesądzać w krótkim artykule. Twierdzę jedno. Program to nie jest bezładne nagromadzenie zasad i celów; program — to ich hierarchja; to konsekwentne i otwarte, wszystkim wiadome, stosowanie wzajemnej dyscypliny jaką nakazuje ta hierarchja.



Drzeworyt ś. p. Janiny Muttówny, jednej z założycielek PAXu, zamieszczony w n-rze wielkanocnym 1933 roku, reprodukujemy poraz drugi ze względu na pamięć Zmarłej.

TOWARZYSTWO „PAX"

Informujemy naszych czytelników, że od dnia 3-go stycznia 1936 r. t. j. od daty zalegalizowania istnieje i działa Towarzystwo o tej samej nazwie co nasze pismo. Art, 4. Statutu Towarzystwa głosi; „Towarzystwo jest organizacją apolityczną, mającą na celu krzewienie kultury chrześcijańskiej, a w szczególności popieranie moralne i materjalne czasopisma „Pax".

Towarzystwo jest faktycznym wydawcą pisma mimo, że dotychczas ze względów formalnych podpisuje je jako wydawca p. Wacław Tarasiewicz, członek Towarzystwa.

Członkiem Towarzystwa może zostać każdy pełnoletni obywatel Polski, przyjęty przez Zarząd. Członkowie dzielą się na zwyczajnych, wspierających i honorowych, przyczem do obowiązków pierwszych dwóch kategorji członków należy między innemi łożenie na fundusz wydawniczy Towarzystwa w formie dobrowolnie zadeklarowanych składek.

Każdy z naszych Czytelników i Sympatyków, o ile chce w większym stopniu przyczynić się do rozwoju pisma niż to mu pozwala samo płacenie niskiej prenumeraty, może zadeklarować dowolnej wysokości składkę, przysyłając pod adresem administracji zgłoszenie na piśmie. Zgłoszenie winno zawierać imię, nazwisko, dokładny adres, wysokość zadeklarowanej składki miesięcznej, kwartalnej lub rocznej i ewentualne życzenie wpisania na listę członków wspierających.

HELENA OBIEZIERSKA

FIZJOLOGIZM DNIA DZISIEJSZEGO

Kiedy zastanawiam się nad tem, jaką nazwę nada historja literatury i kultury okresowi, który przeżywamy obecnie, zdaje mi się, że najstosowniejszą byłaby dlań nazwa fizjologizmu. Jak przed stu laty do każdego zagadnienia podchodzono pod kątem idealistyczno - indywidualistycznym, jak potem — pod ekonomiczno - społecznym (za pozytywizmu), a następnie pod artystyczno - estetycznym (za modernizmu), tak dziś do każdej sprawy podchodzimy od strony naszego ciała, jego potrzeb i jego dobrobytu. Złożył się na to szereg przyczyn ogólnie znanych: naturalne reakcje po kilka lat trwającem planowem wyniszczaniu ciał na wojnie; obniżenie się poziomu zainteresowań umysłowych w związku z wojennem spustoszeniem kulturalnem, gwałtowna demokratyzacja inteligencji, powszechny wyścig pracy, wymagający znacznych zasobów sił fizycznych, wytężona propaganda sportu — i inne.

Na poparcie mojej tezy o fizjologicznem podłożu wszystkich nieomal zainteresowań współczesnego człowieka, przytoczę parę dowodów. Pierwszy, nie wymagający rozwinięcia, to wyłącznie seksualne nastawienie erotyzmu współczesnego. Każdy erotyzm zawsze i wszędzie ma podłoże seksualne, ale współcześnie wszystkie inne jego pierwiastki składowe zostały zeń wyeliminowane — mówię, rzecz prosta nie o pojedyńczych wypadkach, ale o atmosferze ogólnej.

Drugi dowód, to panowanie Boya nad mentalnością powojennej polskiej inteligencji. Gdyby mię dziś zapytano, kto w obecnej chwili jest naczelnym reprezentantem literatury polskiej, odpowiedziałabym bez namysłu: Boy - Żeleński. Nie ze względu na talent, ale na wpływ, jaki wywiera na światopogląd współczesnych Polaków, bez względu na to czy go czytają bezpośrednio sami, czy karmią się jego „filozofją" z drugiej ręki. A Boy jest lekarzem i cała jego filozofja polega na rozciągnięciu praw fizjologji i zastosowaniu kryterjów higjeny fizycznej do całego świata uczuć i myśli człowieka. I jeśli ten pisarz, znany przed wojną tylko jako autor sprośnych „Słówek", enfant terrible z Zielonego Balonika, mógł po wojnie urosnąć do rozmiarów „Boya - Mędrca", wyroczni kształtującej całą umysłowość współczesnej polskiej inteligencji, to oczywiste, że ta inteligencja takiej właśnie, boyowskiej, interpretacji życia pragnęła, że żywiła ją podświadomie na dnie swej psychiki i czekała tylko na dowcipne takiej koncepcji sformułowanie.

Za dowód trzeci mogą służyć doświadczenia z dziedziny pedagogji. Ile razy nauczyciel ma do omówienia ze starszą młodzieżą, a zwłaszcza z rodzicami, jakieś zagadnienie natury wychowawczej i podejdzie do niego od strony moralnej, trafia prawie zawsze na drzwi zamknięte. Odpycha go zupełne niezrozumienie, obcość słuchaczy dla tych zagadnień i z tej obcości wypływająca pewna nieufność, wrogość w stosunku do osoby wychowawcy. Lecz niech do tej samej sprawy podejdzie od strony fizjologicznej, od funkcyj systemu nerwowego, zaburzeń wieku dojrzewania, od kompleksów adlerowskich czy freudowskich, niech zwróci uwagę na intensywne rośnięcie, na sposób odżywiania lub spania wychowanek — a wtedy jest słuchany, szanowany, uznawany. Podobne zjawisko obserwujemy i w sądownictwie, gdzie na plan pierwszy wszelkich dochodzeń zaczęły wysuwać się badania lekarskie ustroju nerwowego i fizycznego przestępcy. Jest to z pewnością słuszne, jeżeli chodzi o powzięcie decyzji co do osoby winowajcy i ustalenia stopnia jego odpowiedzialności, ale pociąga też za sobą niekiedy zupełny zanik kryterjów moralnych przy ocenie samej zbrodni — a to wydaje mi się już poważnem niebezpieczeństwem społecznem.

Znacznie jaskrawiej niż w sądownictwie ten „fizjologizm" przemówił w literaturze. Literatura już od czasów modernizmu wyrzekła się wszelkiego sądu o duszy człowieka, z jednakowym artystycznym objektywizmem — a może raczej z jednakowem psychologicznem współczuciem odtwarzając wszystkie jego dobre i złe, piękne i szpetne uczynki i gesty. Zaciekawiającym momentem psychologicznym nie są dziś charaktery, świadome woli, ale instynkty, odruchy, a więc znowu konstatujemy typowo fizjologiczne podejście do tematu zarówno autorów jak czytelników.

A w dziedzinie socjalnej? Odwieczna wszystkim znana walka o sprawiedliwość społeczną w jakiej się płaszczyźnie dziś toczy? o jakie dobra? Wyłącznie o materjalne, a nie o posiadanie, ale na pierwszem miejscu o zapewnienie każdemu odpowiednich warunków rozwoju przedewszystkiem fizycznego, rozwoju organizmu. Nie kwestjonuję narazie czy to zjawisko mogłoby w obecnej chwili wyglądać inaczej, stwierdzam tylko, że dobijanie się o prawa moralne, o warunki rozwoju ducha, o wolność myśli, tak niegdyś charakterystycznego dla wszystkich ruchów „czerwonych", dziś się prawie nie słyszy — gdzieś się zapodziało, wsiąkło w nicość — pozostały przy głosie tylko tamte fizyczne niezaspokojone potrzeby.

Istnieje dość rozpowszechnione przekonanie, że taka „fizjologiczna" postawa wobec życia jest postawą radosną, w przeciwieństwie do „weltschmerzów", płynących z przewrażliwienia, z przerostu pierwiastka duchowego w człowieku. Mnie osobiście zdaje się jednak, że przerost fizjologizmu powoduje w rezultacie pesymizm bez porównania głębszy, niż przerost idealizmu. Jeżeli bowiem za podstawę osobowości weźmiemy pierwiastek duchowy, w takim razie życie ludzkie, o ile tego zachcemy, stać się może nieprzerwanym pochodem naprzód, a każdy dzień przeżyty jednym szczeblem wzwyż. O ile jednak uznamy za decydujący pierwiastek fizjologiczny, wówczas stwierdzimy z bólem, że już w dwudziestym mniej więcej roku życia, a więc w parę zaledwie lat po uświadomieniu sobie przez jednostkę własnego ja, rozwój jej organizmu osiąga swoje apogeum, poktórem zaczyna się niedostrzegalna narazie, potem coraz szybsze obniżanie się sprawności i piękna ciała. Propaganda rozkoszy fizjologicznych zrodziła konsekwentnie zmorę starości i śmierci, nieodstępną towarzyszkę współczesnego pokolenia, trucicielkę radości wieku dojrzałego i lat późniejszych. Przecie młodość może się nie udać, niejedna młodość może być smutna, a jeżeli starość m u s i być godna wzgardy ohydą i przerażeniem (patrz *Granica* Nałkowskiej, wspaniały artystycznie wyraz fizjologicznego ustosunkowania się do życia), to p o c ó ż ż y ć? i j a k ż y ć? Jeżeli za wyraz krańcowego pesymizmu uznamy samobójstwo, to niepodobna zaprzeczyć, że fizjologiczna wobec życia postawa powoduje zamachów takich więcej w dobie dzisiejszej (nieuleczalna choroba, brak dostatecznych środków utrzymania) niż powodowała ich kiedykolwiek postawa idealistyczna.

Ta beznadziejność, ten „brak jutra" fizjologicznego na świat poglądu nosi w sobie zapowiedź reakcji przeciw niemu, zapowiedź jego końca... Ale nie wydaje mi się to narazie możliwością ani dzisiejszego, ani jutrzejszego jeszcze dnia.

ZYGMUNT FALKOWSKI

MONETA

Z szarych cokułów u kresu wzbija się cicha pożoga,
lecące ptactwo sczerniało, drzewa zaniemówiły,
motyle wachlują skrzydłami, kobiety wznoszą ramiona,
otrząsając kolory na światło, które je żywi.
Po ciemniejących kotarach sypią się echa luster
gamami opada śmiech, drzwi zatrzaskują pustkę:
i blada smuga słońca przecieka w mięsiste owoce,
i nicestwieje muzyka agatowym popiołem.
Pod czarnem niebem z wysokich okien świat cały słychać:
pociągi przebijają nawylot tunele i noce,
samoloty, splątane z meteorami, płoną,
spod chłodnych rąk dziecka na twarzy tak płonie wrócona młodość.
Ludzie i chmury przechodzą w klarownych szybach,
pory roku zwisają kłosami dojrzałych godzin
bez woni chleba.
Pod pająkami świateł elektrycznych albo w pożarach zorzy
gdziebądź: w teatrze, w salonie, na okręcie
rozmowy zukosa o Bogu, który ciągle przybywa
i smutek gestów po rzeczach, które są nieobecne
zanim przeszły.
Drobnemu pyłowi rad
uśmiech w tę ciszę, gdy owoc z gałęzi się odrywa.
Monetę kładą na oczy. Brzeg leniwie wygasa.
Sfinksy milczą. Był Człowiek i po tej stronie zostawił świat.

UCHWAŁA TOWARZYSTWA „PAX"

W związku z napaścią dziennika „Słowa" w Nr. 83 z dnia 24 marca 1936 r. na dwutygodnik „Pax" zawartą w artykule podpisanym „Młody Katolik ale nie Odrodzeniowiec" oraz z zarzutem popierania przez dwutygodnik bolszewizmu Ogólne Zebranie Towarzystwa „Pax", mającego na celu zgodnie ze statutem „moralne i materjalne popieranie czasopisma" w dniu 3 kwietnia 1936 roku uchwaliło jednomyślnie: 1. potępić postępowanie redakcji „Słowa" za udzielenie w swym organie miejsca anonimowemu autorowi na umieszczenie obelżywej i zniesławiającej napaści na dwutygodnik „Pax", 2. wyrazić uznanie p. Antoniemu Gołubiewowi Redaktorowi Naczelnemu i p. Witoldowi Rudzińskiemu Redaktorowi odpow. dwutygodnika „Pax" z powodu wytoczenia przez nich Redaktorowi odpowiedzialnemu „Słowa" sprawy karnej z art. 255 i 256 Kodeksu Karnego.

Za Zarząd Towarzystwa „Pax":

Prezes: (—) Iwo Jaworski. Wiceprezesi: (—) L. Małunowiczówna (—) J. Święcicki.

CZESŁAW BOBOLEWSKI (Dok.)

E P I Z O D WIATRAKOMACHJI

(W związku z polemiką o Norwidzie)

Nie bez znaczenia jest tu i inny urywek z listów Żmichowskiej z 1845 roku, łączący się z tem, co Wasilewski nazywa „wypisywaniem głupstw" przez Sfinxa, dotyczący pytania, kiedy Baliński zetknął się z Towianizmem. Jak wiadomo, Wasilewski twierdzi, że było to 1851 roku na emigracji. Ale oto co mówi Narcyza o pewnym poecie, który „cały raz wieczór dowodził, że nauka bluźni Bogu, a intuicją można grać jak w szachy gwiazdami po niebie. Rozmarzył się tak pięknie o aniołach i jasnych kolumnach duchów, czystością bezgrzesznego uwidomionych serca, że aż miło było posłuchać" (*Listy Nr. 7-m. i Z. Wąg. 3. 39*). Otóż wprawdzie nie Baliński był tym wspominanym tu poetą, ale, jak się zdaje, Hornowski. Ten jednak w taki sposób perorował w obecności Balińskiego i jakgdyby z nim na współkę. O tem zaś wiemy jeszcze z innego listu Żmichowskiej, w którym się mieści i jeszcze jedno niezmiernie ważne ze względu na Wasilewskiego wspomnienie Żmichowskiej o Balińskim, odnoszące się już nie do jego mistycyzmu.

Wspomnienie to odpowiada na twierdzenie „odbronzawiacza", że Żmichowska, która sama była konspiratorką, nie mogła czynić zarzutu bezczynności patrjotycznej członkowi „Stowarzyszenia Ludu Polskiego", temu, który dopiero co wrócił z Syberji. Gabryelci!—jak powiada—i przez myśl nie przyszło czynienie bohaterowi sprawy narodowej podobnych zarzutów. A jednak wbrew wszelkim spodziewaniom i perorom takie zarzuty są. Jak Wasilewski w liście objaśniającym, kim był Leon, nie doczytał daty 1848 roku, tak nie natrafił i na następującą opowieść o jeszcze jednym poecie, którym jest kowal Baliński — „Gdybym mogła... z wami — pisze tu Żmichowska do przyjaciółek — posłuchać, jak poeta, co się w murach więziennych wychował, w śniegach azyjskich przetrwał niejeden rok... poeta, co wrócony życiu rozbił się znowu jak dziecko o kamień o przeszkody... on wątły, on nędzny, on p o t ę p i o n y, g d y ż przed chwilą j a s a m a j a n a w e t l i t o ś c i ą c i s n ę ł a m zdania w rozmysłach rozmarzonemu" (*Listy*, t. III, s. 223).

A więc jest potępienie i to wyrażone przez konspiratorkę, jest może innemi słowami wyrażone posądzenie owego chłopca z talentem „czczość" pomimo męczeńskiej przeszłości. Może ów wybuch był wyjątkiem, może zesłaniec na codzień zdolny już był tylko do oscylowania między potrzebą rozpoczęcia życia „rozsądnego" przykładem reszty „rozsądnej" młodzieży i między chwilowem ocknieniem się pod wpływem przypomnienia swojej bohaterskiej przeszłości. Owa „dwoistość" wyraziła się w urywkach takich jego wierszy jak „Do Narcyzy", „Farys-wieszcz", szczególnie zaś w liryku p. t. „Życzenie" („niech ci lekkiem będzie życie").

Wszystkie poruszone wyżej kwestje, jak kwestja dat, stosunków „personalnych", sylwetki psychicznej i... niesłusznych wątpliwości Wasilewskiego stanowczo wykluczają próby substytucji — Edmund równa się Norwid. Wasilewski, jeśli ma zamiar trwać przy swojej koncepcji musi szukać gdzieindziej potrzebnych dowodów.

Ale wróćmy jeszcze już niezależnie od Wasilewskiego do pytania czy Edmund to Baliński.

Nie skłonny jestem twierdzić, że owo budzenie się patrjotyczne sybiraka zdecydowanie rozwiązuje sprawę. Nie powodują tego i wymienione akcenty w wierszach, gdzie oświetlają one conajwięcej Balińskiego jako istotę, żyjącą i według terminu Gabryelli „dwoistem życiem", - to zaś nie wystarcza, by dostrzec w poecie czczego elegancika, świetnie mieszczącego się w życiu salonu nawet pod względem intelektualnym. Żmichowska po latach nie przedstawiałaby tak swego przyjaciela, musiałaby jednak w jakiśkolwiek sposób zrobić zeń bohatera chociażby na miarę Henryka. Sylwetki „Poganki" nie są tak nietrafne, by mogły nie objąć tak charakterystycznej okoliczności. A więc niezupełnie w związku z argumentacją Wasilewskiego, ale raczej dzięki wniknięciu w istotę duchowości Edmunda — Mistyka — nie jestem pewien, czy pod tą postacią przedstawiony został Baliński. Jeśli więc nie Norwid i Baliński, to w takim razie kto?

Niema wątpliwości, że Żmichowska nie dając osobom portretowanym przez siebie właściwych imion, to częściowo je zamieniała między dyskutującymi, częściowo od innych swoich znajomych. Mamy więc Annę, Teklę i Leona (pewno Kapliński), a także Emilkę (Gosselin, Erazm Żmichowski), Henryka (Kamieński). Dlatego może i imię Teofila, oznaczające Skimborowicza, zapożyczone zostało od... Lenartowicza. O nim to często a serdecznie wspomina Żmichowska w listach. Raz np. otrzymawszy od niego wiadomość, pisze „bardzo chory.., księża go wzięli pod swoją opiekę, więc zapewne na potrzebach ciała braku nie uczuje...

CASUS GIDE

OD REDAKCJI. Dla informacji Czytelników nadmieniamy, iż pismo „Poprostu“ zostało w międzyczasie przez władze administr. zawieszone.

Niedawne „nawrócenie“ Gide'a odbiło się wszędzie głośnem echem; powitane zostało oczywiście z radością przez radykalne sfery całej Europy. Jeszcze jedno nazwisko o ustalonej już renomie literackiej, na które się można powołać. Opatrzone niem cytaty są oczywiście autorytatywne. Powoływanie się jednak na Gide'a w obronie literatury komunistycznej — wydaje mi się conajmniej lekkomyślne. Taką nieostrożność popełniła w „Poprostu“ Nr. 14 autorka artykułu, zachęcającego A. Miłosza do pójścia „Drogami najlepszych pisarzy francuskich“. Aneksja pisarzy praktykowana przez wszele obozy ideowe, a oparte o cytaty, jest, jak sądzę, conajmniej niewłaściwe. Cytaty z Gide'a wystarczyłyby sprawnością do uznania go niemal za apologetę chrystjanizmu. Niemam tu zaborczych względem niego zamiarów — loin de là! Kilka cytatów w tekście niniejszego artykułu wskażą tylko może autorce z „Poprostu“ na niepewność takiej metody. Bo też ad jej usum piszę powyższe słowa.

We wspomnianym artykule z „Poprostu“ razi mnie kilka momentów; 1) zbyt superlatywny tytuł (— nie wiem, czy autorka wzięłaby za niego pełną odpowiedzialność w dyskusji literackiej. Czy Marguerithe jest też „najlepszy“? Lepszy od Mauriac'a?) 2) przez brawurowe stwierdzenia, zdradzające niedostateczną znajomość przedmiotu, tuszowaną cytatami (często z drugiej ręki).

Oczywiście drugi zarzut wymaga argumentacji. Autorka pisze np.: „Takt ten (akcesu pisany do ruchu rewolucyjnego) przez krytykę obozu przeciwnego przyjęty został z uradowaniem lub nawet oburzeniem. „Nawrócenie“ A. Gide'a uważać można za reprezentatywne; dla zapoznania się z rzeczywistą reakcją tej krytyki (oczywiście w jej czołowych reprezentantach) odsyłam autorkę do niesłychanie interesującej publikacji p. t. „André Gide et notre tems“ (Paris 1935 NKF). Jest to opowiadanie o dyskusji na temat Gide'a, jaka się odbyła na zebraniu „Union pour la Verité“ w styczniu 1935 r. przy współudziale: A. Gide'a, R. Fernandez'a, H. Massis'a, Fr. Mauriac'a, J. Maritain'a i kilku innych. Książka ta ukazuje jasno wysoki poziom kulturalny dyskutantów, a w szczególności oświetla stosunek katolików do obecnego stanowiska Gide'a. Wynika z niej, że obóz katolicki nie zareagował wcale „oburzeniem“, lecz okazał najdalej idącą lojalność, jaka także cechuje Gide'a w stosunku do chrześcijaństwa.

Od chwili swej konwersji Gide walczy. Nawrócenie na katolicyzm wywołuje zawsze u pisarzy wzmożoną falę twórczości (Joergensen, Papini, Bloy), podczas gdy akres do komunizmu odbija się najczęściej osłabieniem twórczości, lub nawet zupełnem milczeniem. Wystarczy przyjrzeć się ewolucji twórczej pisarzy, wymienianych w „Poprostu“. Dlaczego tak jest? Oczywiście nie będę się kusiła o rozstrzyganie tak poważnego problemu psychologicznego. Chcę tylko oświetlić tę sprawę u Gide'a, jako najbardziej może charakterystycznego „konwertyty“. Zgadzam się z „Poprostu“ — casus A. Gide jest rzeczywiście reprezentatywny.

* * *

Zrozumiały jest rozgłos wywołany akcesem Gide'a do III. Międzynarodówki. Poraz pierwszy zdefinjował się wyraźnie człowiek, starający się dotychczas uniknąć wszelkich definicyj. Niewątpliwie w jego „horreur de se fixer“ można było wyróżnić dwa pokłady: przedewszystkiem rzetelność moralną, która kazała mu szczerze i cierpliwie szukać prawdy a odrzucać nieufnie niesprawdzone jeszcze lub zbyt łatwe rozwiązania, obok tego jednak pogoń za oryginalnością, próżność duchową pisarza en vague. Ramon Fernandez mówi o Gidzie, że uczynił on sobie „de sou état de franc— tireur sa permanente raison d'être“[1] Nie chciał się z nikim łączyć dla zachowania zupełnej wolności duchowej („Il importe avant tout de pouvoir penser librement“).

Gide nie lubi mówić o „nawróceniu“ — swoją deklarację ideową nazywa przystąpieniem (adhésion). Rzeczywiście na przestrzeni wielu lat można przy dobrej woli wyśledzić w nim zapowiedź przyszłej wiary. Nie mam pretensji do samodzielnej rokonstrukcji drogi myślowej, jaka zaprowadziła A. Gide'a do Moskwy. Subtelnie odtworzył ją Henri Massis w przemówieniu, wygłoszonem na wspomnianej już konferencji dyskusyjnej w „Union pour la Verité“. Oto kilka momentów o ewolucji Gide'a.

Na początku swej karjery literackiej uczestniczył A. Gide w ruchu awangardy, przeżywał wespół z innymi nowe dreszcze symbolizmu. Jak wielu współczesnych mu pisarzy oscylował też między symbolizmem a naturalizmem. Odbijają te dzieła z tej epoki, przedewszystkiem „Paludes“ 1895 i „Nourritures terrestus“ 1897, rehabilitacja instynktów, znamionująca wyraźną skłonność autora do światopoglądu materjalistycznego. Rok 1916 stanowi w życiu pisarza ważny przełom a zarazem i pierwszą próbę ustalenia się i zwrot ku maurrastizmowi, współpracę z „Action Française“.

Znamienne miejsce w rozwoju intelektualnym A. Gide'a zajęła Ewangelja. Niejednokrotnie wspomina on o swej wielkiej zażyłości z Pismem Św. Dokonał on — jak mówi Maritain — sekularyzacji Ewangelji, ujmując ją w porządku czysto przyrodzonym, odrzucając jej wieczne perspektywy. Odpowiada mu atmosfera moralna Ewangelji, szczególniej społeczne nakazy Chrystusa. Gide dziś jeszcze po swej deklaracji ideowej, zachował nadzwyczaj uczciwy stosunek do chrystjanizmu. Dał temu wyraz w swojem wypowiedzeniu na owem zebraniu styczniowem: „Pisałem i wierzę głęboko, że gdyby chrystjanizm naprawdę zapanował, gdyby przyjęto naukę Chrystusa taką, jaką ona jest, nie byłoby dziś mowy o komunizmie. Nie byłoby nawet kwestji społecznej“ (op. cit. p. 50) Z dwóch względów te słowa wydają mi się znamienne: 1) są afimacją naszych ideełów z przeciwnego ideowo obozu i 2) rzucają charakterystyczne światło na stosunek Gide'a do komunizmu. Bądź co bądź brzmią one dziwnie w ustach marksisty.

Gide wyznaje, że nie może znieść sytuacji jednostki uprzywilejowanej w bezpiecznej łódce, podczas gdy inni toną. Chrześcijaństwo właśnie wskutek swoich wiecznych perspektyw — zapowiada ostateczną realizację sprawiedliwości i prawdy w dalekiej przyszłości. Gide nie chce czekać na zbudowanie arki, w której wszyscy znajdą pomieszczenie; woli skoczyć w wodę. Czyż nie jest to akt moralnego defetyzmu, spełniony w poczuciu, że przeciwna idea przyniosłaby królestwo sprawiedliwości?

Solucję marksistowską przyjmuje zresztą tylko Gide — człowiek, nie może się zaś jej poddać Gide — pisarz, który dla normalnej twórczości potrzebował właśnie atmosfery zachodniego liberalizmu. Gide uprawiał zawsze kult indywidualizmu, którego rozwojowi sprzyjał tak bardzo klimat współczesnej Francji. Przed przystąpieniem do Kościoła katolickiego powstrzymała go troska o swoją indywidualność i niechęć do duchowego rygoryzmu chrześcijaństwa. Chciał zachować swobodę myślenia i uniknąć konformizmu, jakiego się obawiał w religji. „Czyż Pan nie widzi — zapytał go Jaques Maritain — że komunizm jest także religją? Pan się nie wymknie religji. A im bardziej jest ona społeczna, ziemska, polityczna, doczesna, tem bardziej staje się nietolerancyjna. Niema religji tak nietolerancyjnej jak ateizm komunistyczny“. (Ibid. p. 52).

Oczywiście nowoprzyjęta wiara nie zaślepia tak inteligencji Gide'a, żeby mógł to przeoczyć. O jasnem spojrzeniu na istotę komunizmu świadczą refleksje z 1933 r.: „...Co mnie przeraża, to fakty,

POWIEŚCI TŁUMACZONE

G. Bernanos. **ZBRODNIA,** Warszawa, 1935.

Ostatnia książka autora „Pod słońcem szatana“ jest znacznie słabsza od wcześniejszych utworów niesamowitego francuskiego pisarza-sportowca. Ciekawy wizjoner dusz przedzierżgnął się w zręcznego autora romansu kryminalnego — lecz na tej przemianie zatraciła się psychika jego bohaterów. Czytelnik śledzi w największem napięciu tok akcji, rozczarowuje się jednak, widząc, że tajemnice nie rozwiewają się i nie odnajdzie odpowiedzi na dręczące go pytania.

Bernanos z upodobaniem szkicuje postacie księży: mamy świątobliwą postać ks. Donissana, demoniczną sylwetkę księdza w „Radości Życia“. Obaj ci ludzie podpatrzeni są od wewnątrz: psychika ich jest może nawet mało przekonywująca, jednak na twarzach ich, mimo niesamowitej scenerji, pełga płomyk życia. Tymczasem proboszcz z Megere wypadł niezmiernie blado; wbrew zapewnieniom autora gotowi jesteśmy przypisać księdzu współudział w zbrodni, która się dokonała. Nie rozumiemy też ucieczki księdza.

Na twórczości Bernanosa ciąży pewien rys wspólny współczesnym autorom francuskim, nazwałbym go „karykaturalnością psychiki wewnętrznej człowieka“. Wnętrze duszy ludzkiej wydaje się być gardłem, krtanią czy sercem, oglądanemi przez mikroskop i przerażającemi nas nieprawdopodobieństwem form. Zdaje się, że psychoanaliza, która stała się w ostatnich czasach powszechnym tematem w literaturze francuskiej przeziera i tutaj

Tylko, że brak autorom, nawet katolickim śmiałości, aby zdecydowanie ująć załamanie się duszy, pozostawionej samej sobie i jej skręt ku nieziemskości. Tu tkwi owo „niewykończenie“ powieści autorów w rodzaju Anhouil'a, Mauriac'a. Bernanosa — i delektowanie się przeżywanem złem. Autor czuje się wygodniej na szlakach kompromisu barwności zła z „mdłą bezbarwnością“ dobra — lecz gdy przychodzi mu odmalować dobro, albo je zatraca, albo ogranicza się do suchego skonstatowania, że istnieje. Biedne te figurki chwieją się na wietrze, niezdolne do życia.

Barwny tok opowiadania zatarł oblicza bohaterów, w „Zbrodni“ równie bezbarwni, bladzi i nieprzekonywujący są morderczyni, prokurator, sędzia śledczy. Przekład nadspodziewanie dobry (chyba pierwszy przekład Bernanosa, o którym to można powiedzieć).

*

Huxley. **MUZYKA NOCĄ,** Warszawa. 1935.

Książki Huxleya zawsze budzą refleksje i choćbyśmy dalecy byli od idej ich autora, z zaciekawieniem dążymy śladem jego myśli. „Muzyka nocą“ przynosi garść uwag, luźno związanych ze sobą, poruszających tematy zarówno bardzo zasadnicze jak i bardzo drobne; mamy rozważania na temat sztuki wogóle, na temat muzyki i malarstwa, na temat moralności naszych czasów, zagadnień religijnych, sprawiedliwości, ustrojów społecznych i t. p.

Poleciłbym czytanie Huxleya wszystkim „uświadomionym“ katolikom. Właśnie dlatego, że autor wypiera się, gdzie może wszelkiej wspólnoty z idejami transcedentalnemi. Jego więc rozumowania oderwane od podstawy, który stanowi zwykle dla nas „point de départ“, są tem ciekawsze, iż, chcąc nie chcąc prowadzą w świat spostrzeżeń, do których niejednokrotnie i my dochodzimy. Gdy Huxley (w szkicu „O Łasce“) dochodzi do przekonania, że tylko miłość bliźniego, pojęta po chrześcijańsku, zdolna jest wytłumaczyć świat, że postęp dzisiejszy („Uwagi o wolności w granicach ziemi obiecanej“) prowadzić musi do katastrofy, wyrażającej się w przekroczeniu punktu równowagi prawa zmniejszającej się wydajności wszelkiej rozkoszy — zgadzamy się z nim całkowicie, choć w inny sposób zdobyliśmy te prawdy.

„Muzyka nocą“ stanowi jednocześnie doskonały komentarz „Nowego, wspaniałego świata“. Zaczynamy rozumieć na drodze jakich skojarzeń myślowych powstała w umyśle Huxleya przerażająca wizja życia przyszłości, będąca „całkowitą prawdą“ (że użyję wyrażenia Huxleya) w stosunku do pięknie wystylizowanych „prawd“ wellsowskich.

Tłumaczenie książki dobre, dokonane przez p. Szerer. Jeden ze szkiców tłumaczył gen. Wieniawa. Jest to, jeśli się nie mylę, pierwsze zetknięcie się sympatycznego kawalerzysty i doskonałego tłumacza Dupont'a z literaturą angielską (jeżeli nie liczyć powitania Chestertona przed laty, na dworcu w Warszawie).

J. Dobraczyński.

dał nam śliczne piosneczki swoje, dał pełno cudnych obrazków“, a dalej — „Bodaj to rozum w dobrą chwilę przeszłości się oprawić. Wspomnienia Lenartowicza zakute są wśród tylu brylantowych wspomnień, że mi zawsze, jeśli nie słońcem, to chociaż łzą świecą“ (Listy t. III, s. 346). Może więc Edmundem jest Lenartowicz?

Ale byłby i jeszcze jeden kandydat na Edmunda — Edmund Chojecki. Mówi zatem nietylko jego imię, ale także wszystkie charakterystyki (Przegląd literacki, 1889 r. nr. 40, s. 5, 6) — tutaj pojawia się mowa o powieści jego „Alkadar“ ukończonej w 1854 r. także późniejszy Karol Edmund (pseudomin Chojeckiego), współpracownik Proudhona, towarzysz księcia Napoleona, wytworny salonowiec, przesiadujący na pokojach tuileryjskich i w buduarze księżny Matyldy... Widać tu także niejaką przymieszkę mesjanistycznych pojęć, a wreszcie tę subtelną mieszaninę komunistycznych aspiracyj i centralistycznych dążeń, z której w pierwszej mierze wyłoniło się drugie cesarstwo. „Duch słowiański jako syntetyczny dla thesis romańskiej i antythesis germańskiej“. Chojecki jest więc i salonowcem i to salonowcem giętkim, przyjaźniącym się i z członkami panującego domu i z najzagorzalszymi demokratami, a także mistykiem i heglistą. Zarzuca się mu również przytem wszystkiem obywatelską bezczynność, rażącą „wśród owocowego zwłaszcza szczytem krwawych walk i zgiełku burzliwych żywiołów społecznych“.

Obie te jednak kandydatury Edmunda (szczególnie Lenartowicza) są bardzo niepewne. Przy pomocy tak szeroko rozbudowanego aparatu dowodowego, jak aparat Wasilewskiego, możnaby je utrzymać równie przekonywująco, jak uczynił to autor *Norwida* z tym właśnie pisarzem, ale brakowałoby tu jak i Wasilewskiemu dowodów niezbitych.

Pewną natomiast wydaje mi się inna koncepcja. — Edmund jest to postać fikcyjna, ściślej literacka. Zauważamy, że znajduje się ona w sąsiedztwie (wyjątek stanowi Teofil) kreacyj literackich (Leon, Benjamin), zauważamy również, że Żmichowska tylko o nim zapomniała, gdy wszystkich innych dyskutujących pamiętała świetnie, a nawet wyliczała w tej kolejności, w jakiej występują w *Pogance*. Mogła więc być to osoba, której Narcyza nie widziała wyraźnie w chwili tworzenia, skoro nie ustawiła się ona w pamięci autorki. Zauważamy jeszcze i to, że o Edmundzie mówi się niezmiernie mało. Właściwie wszystko się odnosi do stwierdzenia jednej podstawowej cechy — własności „assymilacji“, zdolności „przyswajania sobie z nazewnątrz wewnętrznych usposobień i przekonań“, talentu układania się „do równowagi“ „z otaczającemi żywiołami“, umiejętności bycia „giętką trzciną“. Czyż taka tylko charakterystyka, polegająca na wydobyciu jednej cechy, jest czemś więcej niż literacką konstrukcją, ciekawostką, — czyż nie jest tylko, jak to nazwała sama Żmichowska określa, „pięknym stylem napisaną książką“?

Ale, jeśli chodzi o tę rdzenną cechę, to znowu zauważymy, że jest to atrybut, w który Żmichowska wogóle bardzo chętnie wyposażała swoich bohaterów i to nietylko powieściowych, ale i naszkicowanych we „wstępnym obrazku“. Weźmy naprzykład Augustę. — Czyż jej „zmienny, a w każdej zmianie zarówno gwałtowny charakter, jej niepojęta elastyczność umysłu i wogóle cała konstrukcja psychiczna, pełna przerzucań się w różne jakgdyby wcielenia, nie jest pierwowzorem charakteru Edmunda? Ale taka „zmienność“ właściwa jest i Henrykowi („mógł każdą rolę [w życiu] z zadziwiającą dokładnością przedstawiać, gdyż rola każda tą lub ową stroną o prawdziwość jego charakteru zaczepiała“), i Jadwidze („przez jedną zimę szalenie lubiła tańce, potem kwiaty, potem muzykę“), i Teofilowi („to była jedna żywa szarada, kórej prawdziwego słowa wiele osób odgadnąć nie umiało“), a także Aspazji (por. *Pogoń* 40, s. 140, wyd. B. N.“). W związku z tem trzeba zaznaczyć, że prawie wszystkie omawiane portrety dadzą się sprowadzić do dwu głównych typów rysunków krystalicznie jednolitych, rządzących się nienaruszalnemi dla siebie normami (Felicja, Tekla) i postaci o niespotykanej giętkości wewnętrznej. Wynika stąd, że Żmichowska podciągała charakterystyki pod pewne schematy, że w podejściu do indywidualności grała rolę chęć powiedzenia ciekawostki, polegającej na specjalnej stylizacji, że wobec tego wierność minjatur nie jest niezachwiana. Jakoż przed objaśnieniami autorki, kogo dana osoba oznacza, znajdujemy „ostrzeżenie“: „godzi mi się jednak wyliczenie tem ostrzeżeniem poprzedzić, że wszystkie portretowane osoby z wyjątkiem może Teofila Dzieciaka, bardzo się na zupełny brak podobieństwa skarżyły, innych... poznając“ (*Listy* t. II, s. 473).

W związku więc z tem „teoretycznem“ nastawieniem autorki istnieje możliwość widzenia we „Wstępnym obrazku“ konstrukcyj wprowadzonych ze względów pozapamiętnikarskich.

Oczywiście nie znaczy to, że Żmichowskiej życie nie dostarczyło żadnego materjału — korzystała ona ze swoich obserwacyj — ale w tym wypadku zda-

że religja komunistyczna także zawiera dogmat, ortodoksję, teksty, na które się powołują, rezygnację z krytyki". Pisarz stara się znaleźć uzasadnienie dla tej ortodoksji; przyjmuje, że teraz, w pierwszej epoce realizacji marksizmu zbyt surowa krytyka mogłaby się okazać szkodliwą. Zgadza się, że nowa literatura musi się wiązać ściśle z ideologją komunistyczną, że musi być programowa. Przyjmuje więc konieczność duchowego konformizmu, odrzuconego poprzednio w katolicyzmie. I w tem tkwi niewątpliwie moment rezygnacji i kompromisu; Gide gotów się wyrzec swojej samotnej duchowej niezależności. Ale — tu się właśnie otwiera perspektywa na istotny konflikt wewnętrzny Gide'a: Gide—pisarz nie może iść za wezwaniem Gide'a — wyznawcy.

Od chwili „nawrócenia" Gide zupełnie przestał tworzyć; swoje obecne milczenie uważa on za ofiarę na rzecz systemu („sacrifice", nb. pojęcie, wykreślone chyba ze słownika marksistowskiego). Na pytanie Mauriac'a o przyczynę tego milczenia, Gide odpowiada: „Co mnie powstrzymuje od pisania to obawa Indexu... Zawsze byłem zdeklarowanym wrogiem wszelkich ortodoksyj. Marksistowska wydaje mi się tak samo groźna jak każda inna; groźna przynajmniej dla dzieła sztuki... Może potrzeba, aby dziś istniało hasło (w partji komunistycznej), ale dzieło sztuki nie może odpowiedzieć na hasło".

Gide stoi wobec dylematu: jak go sobie rozwiąże ten heterodoksyjny marksista? Czy Gide — pisarz nie podniesie buntu przeciwko Gide'owi — komuniście?

Przypuszczam, że tego rodzaju dylemat miał na myśli autor listu „Do obrońców kultury („Poprostu" Nr. 12), pisząc o wymaganym dziś z tamtej strony barykady konformizmie pisarza do „utartych form, utartej tematyki i niemalże utartej dla takich wypadków interpunkcji". P. Żeromska ma trochę racji w swej odpowiedzi: „Świadome i dobrowolne podporządkowanie się dyscyplinie" nie może zniszczyć wielkiego talentu. Każe mu poprostu — zamilknąć.

Irena Słowińska.

1931, p. 9.

JONATHAN LONGBOTHAM. *SPRAWY ZAGRANICZNE*

WSZYSCY ŻĄDAJĄ KOLONIJ

(STANOWISKO WIELKIEJ BRYTANJI)

Sprawa abisyńska zwróciła większą uwagę świata na kraje tropikalne i zaczęła interesować nawet tych, którzy nigdy o sprawach kolonjalnych nie myśleli. Mamy zamiar omówić tę kwestję na łamach PAXu ze stanowiska etycznego. Ponieważ jednak problem w Polsce jest zbyt nowy i mało popularny, zwróciliśmy się do p. Jonathana Longbothama z prośbą o artykuł, ilustrujący dzisiejszy stosunek największego w świecie państwa kolonjalnego do spraw kolonjalnych.

Pierwszy minister koronny Norwegji, p. Johan Millbye pisze w artykule w norweskim dzienniku, że Wielka Brytanja mogłaby dać cudowny przykład wzniosłej umiejętności sprawowania rządów, gdyby usiłowała przywrócić Niemcom kolonje afrykańskie, stracone wskutek wojny, a później być może przy współpracy z Francją, starała się udostępnić terytorja afrykańskie, nadające się do włoskiej imigracji i podziału pod opieką Ligi Narodów.

P. Millbye poruszył dość wielki problem, który, zwłaszcza wobec wyników włoskiej kampanji przeciw Abisynji oraz wobec przenikania Japonji do Chin, dużo daje do myślenia Wielkiej Brytanji. Problem ten stanie się niewątpliwie bardziej ostry i trudny w najbliższej przyszłości. Naród angielski doskonale wie o żądaniach nietylko Włoch i Japonji, lecz również Niemiec oraz innych państw Środkowej Europy, włączając w to Polskę.

Nasuwa to wszakże pewne zastrzeżenia, jeśli chodzi o podstawę tych pragnień oraz o ich uzasadnienie. Wiele pobudek skłania rządy do posiadania kolonij. Najważniejsze są te, które się wiążą z przerostem zaludnienia, dążeniem do posiadania surowców i zamorskich rynków wreszcie siła narodu i jego powaga. Narody, żądające czy to zabezpieczenia zwrotu swych dawnych kolonij — jak w wypadku z Niemcami — lub nadania im nowych terenów pod kolonizację patrzą oczywista z zazdrością na rozległe posiadłości Wielkiej Brytanji. Imperjum Brytyjskie, jako potęga o największych kolonjach jest w pozycji wyjątkowej odpowiedzialności i we właściwym czasie śmiało stanie wobec problemu, który z dnia na dzień staje się coraz ważniejszem i donioślejszem zagadnieniem.

Zajdą niesłychane trudności na drodze pokojowego rozwiązania problemu, a te trudności raczej będą powiększone, niż usunięte przez te narody, które stracą cierpliwość i uciekną się do wojny zaborczej w nadziei zagarnięcia terytorjów własnemi środkami. Tylko pokojowa droga może zapewnić trwałe wyniki.

Nietylko się okaże, że wydarte dobra z kolonij są z wielu powodów wątpliwej wartości, lecz okaże się jasno, że narody, które same siebie klasyfikują jako „niezadowolone" potęgi, o wiele bardziej się mylą, jeśli sądzą, że to jest bardzo łatwe zadanie wybrać podczas podziału kolonij i mandatów najbardziej korzystne tereny.

Ludzie wykształceni na całym świecie wykazują zadziwiającą nieznajomość organizacji Imperjum Brytyjskiego i stosunków poszczególnych jego członków do kraju macierzystego w tej formie, jak się to przedstawia w chwili obecnej.

Szerzej mówiąc terytorja Imperjum Brytyjskiego rozpadają się na 3 kategorje, wszystkie powiązane razem ogólnem posłuszeństwem królowi. Do pierwszej grupy należą dominja: Australja, Mała Zelandja, Kanada i Poł. Afryka. Indje nie są jeszcze dominjum, lecz stopniowo do tego stanu się zbliżają. Dominja są całkowicie niezależnemi, samorządnemi narodami na równej stopie z Wielką Brytanją. One ustalają swoje własne prawa, a te są ratyfikowane przez generalnego gubernatora, który jest reprezentantem władzy królewskiej. W drugiej grupie znajdują się kolonje koronne i protektoraty, rozrzucone po całym świecie. Największe i najważniejsze znajdują się w Afryce, mianowicie Nigerja i Kenja. Kolonje są rządzone przez generalnego gubernatora, lub przez gubernatora, działającego według instrukcyj Urzędu Kolonjalnego w Londynie. Wreszcie w trzeciej grupie są terytorja mandatowe, pomiędzy któremi: Tanganika, Południowo-Zachodnia Afryka i Palestyna mają największe znaczenie. Za ich pomyślny rozwój odpowiedzialna jest Wielka Brytanja przed Ligą Narodów.

Powyższe jest tylko krótkim zarysem ustrojów poszczególnych członków brytyjskiego wspólnego dobra narodowego — obszernego stowarzyszenia krajów i ludów; rozciąga się ono na wszystkie części całego świata, ale jest złączona jedną czcią dla osoby królewskiej.

Jakie są korzyści dla Brytanji, płynące z tak zwartego związku, które tworzą masy terytorjalne jej dominjów i terytorjów? Odpowiedź na to pytanie może wydać się niespodziana tym, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, co wynika z takiego stosunku. Wszystkie mniemania, jakoby korzyści, stąd płynące były proporcjonalne do ilości i gatunku posiadanych kolonij — są błędne. Oczywiście dominja w swoim czasie otrzymały wielkie ilości emigrantów z krajów europejskich, lecz zapewniły one sobie teraz niezależność, ponieważ pozamykały swe porty dla wszelkich osadników, nie wyłączając Brytyjczyków, tych mianowicie, którzy nie są zdolni do zapewnienia sobie pewnej ilości kapitału. Dominja zaopatrują świat w drogie minerały i surowce, lecz Anglja ostatecznie nie dostaje ich więcej, niż inne narody na drodze handlu z jej dominjami, chociaż przez długie lata dużo zużyto wysiłku, by ustalić politykę „przewagi imperjalnej". Jakkolwiek teoretycznie niezależne, dominja nie są dostatecznie bogate aby zabezpieczyć sobie wystarczającą obronę i niedomagania te oczywiście muszą być pokryte koniecznie przez rząd brytyjski.

Kolonje, zwłaszcza na lądzie afrykańskim nastręczają podobne problemy centralnej administracji w Londynie. Pomijając trudności natury fizycznej przy osiedlaniu terytorjów tropikalnych, wszystkie niemal one są już beznadziejnie przeludnione, a niestety, jeśli nie mogą one już znaleźć miejsca dla osadników angielskich, to najmniej pomogą innym narodom europejskim, cierpiącym na przerost zaludnienia. Jak w wypadku dominjów, kraj ojczysty jest odpowiedzialny za obronę kolonij za pieniądze pochodzące z kieszeni angielskich podatników. Donoszą np., że rząd brytyjski wydał £ 40000 na wzmocnienie obrony na granicy Kenji w celu zabezpieczenia przed abisyńskimi porywaczami niewolników.

Skoro bierze się w rachubę tyle czynników jest niemożliwe przyjść do innego określonego wniosku, jak do podkreślenia korzyści, płynących z nazwy „posiadacza kolonij" lub „centrum światowego imperjum", lecz jest całkiem jasne, że korzyści nie są tak oczywiste, jakby się to wydawało przy pobieżnem traktowaniu sprawy.

Musi przyjść czas, gdy cała kwestja kolonjalna będzie traktowana bardzo poważnie i to jest naturalne pytanie: jaki udział weźmie w tem Anglja. Ponieważ nie było dotąd żadnych oficjalnych wzmianek, nie można określić przypuszczalnej polityki Wielkiej Brytanji w tej materji.

Dominja są państwami niezależnemi, i nie mogą oczywista wchodzić w grę przy rozdziale terytorjów, chociaż można je skłonić do bardziej kompromisowego traktowania sprawy emigracji. Wszystkie kolonje brytyjskie można zakwalifikować jako mandaty, z których niejedne możnaby przeznaczyć dla narodów „niezadowolonych". To jest mniemanie, na które zgadzają się niektórzy z wybitniejszych angielskich administratorów kolonjalnych, i wydaje się, że jest możliwą podstawą dla zgody międzynarodowej. Obecne mandaty brytyjskie mogłyby więc przejść pod inne flagi. Lecz każdy z tego rodzaju projektów nie może być oczywista do pomyślenia w wypadku, jeśli nie będzie odpowiadać życzeniom i okolicznościom, odnoszącym się do mieszkańców danego kraju, poza tem jest to trudne zadanie samo przez się; zdaje się, iż zdanie, że każda zmiana władzy czy autorytetu nie jest miłe widziana przez krajowców — jest słuszne.

O ile aktualnie przebudowa kolonij i mandatów jest niepraktyczna, to można umieścić kolonje na tym samym stopniu ekonomicznie i handlowo co terytorja mandatowe, gdzie równy dostęp jest zapewniony wszystkim przez prawo międzynarodowe. Główne warunki są następujące: zagwarantowanie moralnego dostępu do rynków, i zapewnienie rozdziału surowców bez nieuczciwych przeszkód.

Mogą być inne również drogi, na których Brytanja może szukać rozwiązania tego intrygującego problemu i bezwątpienia z radością przyjmie przyszłą konferencję narodów, o ile możliwe zwołaną pod auspicjami Ligi Narodów, na której żądania kolonjalne poszczególnych narodów będą rozpatrzone z każdego punktu widzenia i będzie dokonany wysiłek, aby zadowolić ich potrzeby bez naruszenia tego pokoju, który jest tak życiodajny dla rozwoju i znaczenia cywilizacji.

CO BĘDZIE MODNE

je się tylko o tyle, że uosobiła ducha salonu, gdyż owe zmiany „wierzeń" Edmunda — odpowiadają — wspomnianym już wyżej warszawskim koterjom, — o konkretnej osobie zaś jest tu bardzo trudno i niebezpiecznie mówić.

Nie czyni bowiem z Edmunda konkretnej indywidualności ani talent bez serca, ponieważ w tę własność wyposażony jest ogół literatów salonowych (*Listy*; t. I, s. 62. 63) i... Augusta, ani połączenie talentu malarskiego z poetyckim(?) gdyż różnostronnością uzdolnień artystycznych odznacza się ogół bohaterów Żmichowskiej, a tem połączeniem specjalnie Augusta, ani niepraktyczność — jest to wszak cecha w s z y s t k i c h panów z przykominkowej dyskusji i w dalszym ciągu Augusty. Edmund więc w znacznej mierze mieści się w charakterystyce Augusty, gdyż wszystkie cechy, któremi jest obdarzony, są cechami tej... entuzjastki i w związku z tem nie można oprzeć na nich ustalania identyczności Edmunda z kimkolwiek, — zbyt mało ich jest i zbyt są przestylizowane.

Podsumowując wyniki rozważań, utrzymuję, iż podstawianie Norwida pod Edmunda Mistyka — jest całkowicie wykluczone, a kogokolwiek innego conajmniej niebezpieczne wobec ogólnikowości i specyficznej szablonowości charakterystyki „Wstępnego obrazka".

REDAKTOR NACZELNY: ANTONI GOŁUBIEW. — REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: WITOLD RUDZIŃSKI. — WYDAWCA: WACŁAW TARASIEWICZ. — ADMINISTRATOR: MARJAN PRUBA

PRENUMERATA Z PRZESYŁKĄ W POLSCE: rocznie 4.80 zł., półrocznie 2.50 zł., kwartalnie 1.40 zł.; ZAGRANICĄ: rocznie 7.40., półrocznie 3.90 zł.. kwartalnie 2.40 zł.; w Ameryce i Chinach: rocznie 2.50 dol., półrocz. 2.— dol., kwart. 1.20 dol. — OGŁOSZENIA: 1/1 str. 500 zł., 1/2 str. 280 zł., 1/4 str. 150 zł., 1/8 str. 80 zł. Wiersz garmontowy 1 zł.

Redakcja i Administracja: Wilno, ul. Zamkowa 14 — 1. — Konto P. K. O. Nr. 144.229
Redakcja czynna w poniedziałki i środy od godz. 1-szej do 2-giej. Administracja czynna codziennie oprócz świąt od godz. 12-ej do 2-giej

Drukarnia Archidiecezjalna w Wilnie, Metropolitalna 1, telef. 14-49